Zvonko Karanović

z tomu *Lunatycy na wycieczce*
przełożyła Ewa Getter-Lisowska

W pokoju hotelowym

Siedział w pokoju hotelowym ubrany jedynie w białe bokserki, które sięgały mu prawie do kolan.

Rozmawiał przez telefon z matką.

Matka od dawna nie żyła.

Głos w słuchawce zaledwie przypominał jej głos.

„W pisaniu decyduje wyrazistość szczegółów" – usłyszał po drugiej stronie.

Za jego plecami tańczyła wielka, naga kobieta o szerokich ramionach i masywnych udach.

Wiła się leniwie w rytm cichej muzyki elektronicznej, która dobiegała z głośników rozmieszczonych w kątach pokoju.

Potem usłyszał:

„Uciekasz od kobiecych postaci, jesteś zafascynowany maszynami… Twój ojciec był w podróży, gdy cię rodziłam…".

Kobieta zza jego pleców podeszła i ze znudzonym wyrazem twarzy przerwała połączenie.

„Nie należy pisać o śmierci, żyjemy w kulturze szczęśliwych zakończeń" – oświadczyła metalicznym głosem robota.

Zamknął oczy.

Znalazł się w luksusowym apartamencie pełnym striptizerek.

Dzwonił telefon.

Potrzebował dłuższej chwili, by opuścić rękę i podnieść słuchawkę.

„Brak ograniczeń wrogiem sztuki…" – znów usłyszał matczyny głos.

Przestał słuchać.

Patrzył, jak trzy blondynki na wysokich obcasach zbliżają się i go otaczają.

Dwie wyrwały kabel telefoniczny, owinęły wokół jego szyi i zaczęły go dusić.

Trzecia przyciskała mu do twarzy ogromne silikonowe piersi, żeby nie mógł oddychać.

Doznał silnej erekcji.

Nie próbował się bronić, wręcz pomagał im w duszeniu.

Owinął sobie kabel wokół szyi najmocniej, jak potrafił, ale miał wrażenie, że bezskutecznie zaciska gumę do skakania, wiotką, żelatynową taśmę.

Notatka z kartonowego kościoła

Tylko na początku miał wizje pełne ognia i popiołu.

Potem zastąpiły je całkiem zwyczajne, jak choćby zatapianie się morza w słońcu albo jazda na rowerze po wodzie głębokiej na metr, albo nawigowanie ptakami przy pomocy myśli.

Nie widział w tym nic dziwnego.

Takie było jego zadanie. Mieć wizje, zapisywać je i od czasu do czasu wysyłać tym, których to wcale nie interesowało.

Nie uważał się ani za proroka, ani za kaznodzieję, a mimo to zbudował kościół na obtłuczonym ulicznym kontenerze.

Do kościoła, kartonowego pudełka pożółkłego od słońca i deszczu, przygarnął wyliniałego kociaka.

Dotrzymywał mu towarzystwa, gdy przy świetle świecy, zazwyczaj po północy, pisał do siebie listy.

Dni mijały spokojnie, aż do wielkiego incydentu, który sprowokowało takie oto zdanie:

Kiedy zostajemy sami, musimy skoncentrować się na wyglądzie.

Ledwo zdążył postawić kropkę, niebo się rozwarło.

Zaskrzeczały sroki na szafocie, zapiszczały nietoperze sumienia.

Z mrocznych głębi smagnął go wewnętrzny głos:

„Powierzchowność to iluzja! Istotę kryje wnętrze!".

Przerażony zaczął pisać w transie:

Sposób na przetrwanie… Negacja powierzchowności… Życie pod powierzchnią…

Przypomniał sobie, że pisze do siebie i nie ma potrzeby usprawiedliwiania, więc odłożył pióro.

W kącie wyliniały kot uniósł łapę.

Przyczepiona na kociej piersi, niczym przypinka, maleńka neonowa reklama Coca-Coli zamigotała w ciemności, a on w końcu pojął, że znalazł się tu z całkiem niewłaściwych powodów.

Nieoczekiwane zdarzenia w muzeum wspomnień

Siedział w tandetnym fotelu ze sztucznej skóry i długo gapił się w napis na ścianie: *Człowiek musi się postarać, żeby traktowali go poważnie!*.

Przeniósł spojrzenie na gablotkę, w której stał bezużyteczny zakurzony gramofon, oprawiona w ramkę fotografia uśmiechniętej dziewczyny i poemat *Pobyt w piekle*.

Uniósł się niespiesznie i poszedł do kuchni.

Wrócił z niewielką siekierą.

Najpierw roztrzaskał ramkę.

Potem silnym uderzeniem rozbił na kawałki plastikową pokrywę gramofonu, a sam gramofon strącił na podłogę i z wściekłością podeptał.

Dłuższą chwilę przyglądał się zniszczeniu, po czym sięgnął do gablotki po książkę.

Nie chciał jej tak od razu podrzeć na strzępy.

Wrócił na fotel i z zadowoleniem, sadystycznie, wyrywał kartkę po kartce, czasami robiąc przerwę, by na chybił trafił przeczytać jakiś fragment.

Kiedy zostały mu w rękach same okładki, z satysfakcją przyjrzał się napisowi na ścianie.

Na zewnątrz mrok gęstniał w ponure warczenie.

Wewnątrz rozrzucone przedmioty tworzyły nowy, całkiem świeży i niespodziewany porządek.

Opuszczony przez światy

Podszedł do lustra i długo wpatrywał się w obwisłe worki pod oczami.

Ten umęczony krajobraz był zarazem smutny i osobisty.

Zanim się obejrzał, cały świat zniknął z jego życia.

„Planetę uratują rośliny, ludziom pisane są niebiosa" – przypomniały mu się słowa pewnego francuskiego pisarza.

Bezskutecznie próbował w słowie „niebiosa" doszukać się choć odrobiny wyższego, pocieszającego znaczenia, kiedy znalazł się w pociągu.

Zimny i słabo oświetlony skład ział pustką.

Był jedynym pasażerem.

Zatrzymał się w wagonie restauracyjnym.

Głos z głośnika powtarzał monotonnie:

– *Nie bierz udziału w aukcji literatury, tym karnawale luster… w tym karnawale luster… Oszklij swój Babilon…*

…Spal wszystkie depozyty wymówek…

…Nie bierz udziału w aukcji literatury… Oszklij swój Babilon…

Drgnął, gdy ponownie usłyszał: „Spal wszystkie depozyty wymówek…".

Nadal stał przed lustrem i gapił się w swoją zmęczoną twarz.

Westchnął głęboko i wyszedł na balkon.

Dalekie wieżowce przypominały krążowniki zakotwiczone w mroku.

Zmrużył oczy.

Kiedy je znowu otworzył, przestrzeń przed nim niemal całkowicie opustoszała.

Wieżowce bezgłośnie znikły w nocy.

Patrzył zaskoczony, jak opuszcza go również świat zewnętrzny.

Księżyc się uśmiechał, ale nie zamierzał ingerować.

O młodości i o tym, co powinno być prawdziwe

Kroczył z ogromną, oprawioną fotografią w rękach.
(Czarny kir przecinał prawy górny róg ramy).
Minęło trzydzieści lat, a on wciąż nosił fotografię tej martwej dziewczyny.
Jej zabójca nadal pracował niezmordowanie, wysoko wymachując tępym, zakrwawionym ostrzem.

(Podczas gdy świat drżał,
Wenus numer 17 odchodziła z pełnymi walizami,
skromni mężczyźni popełniali seppuku,
major Tom tracił kontrolę).

Kroczył przepełniony bezgraniczną pustką.
Nie zamierzał opuścić konduktu.

Literatura i przemoc

Samotność umilał zapisywaniem myśli.
Jestem częścią umeblowania, która szybciej od reszty zbiera kurz.
Nie wiedział, skąd mu się to wzięło, ale wierzył w automatyzm pisania, więc zdania nie skreślił.
Siedział i w zamyśleniu wyglądał przez okno.
Myślał o chilijskim poecie opętanym przez literaturę i przemoc.
Zadawał sobie pytanie, czy talent jest niezbędny, by zostać przestępcą.
Odłożył papier i ołówek, żeby pójść po wodę.
Gdy w przedpokoju mijał lustro, zobaczył siebie i wrzasnął przerażony.
Karłowaty duch człowieczeństwa na jego ramieniu miał na głowie czarną kominiarkę.

Edyp, na skraju przepaści

Był bezdzietnym rozwodnikiem.

Każdego popołudnia po pracy odwiedzał niepełnosprawną matkę.

Wyprowadzał ją na wózku, zabierał na spacery i wycieczki.

Znajdywał i opłacał opiekunki, żeby troszczyły się o nią dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Nie miał sumienia umieścić jej w przytułku.

Nie miał też sumienia jej powiedzieć, że jego głowa przekształciła się w zepsuty bojler, z którego cieknie woda.

(Słyszał, jak głosy szepczą: „Zatkaj dziurę w kotle… Usuń kamień…").

Nie dopuszczał do siebie myśli o wizycie u lekarza.

Któż by się zatroszczył o matkę?

Jego stan ulegał pogorszeniu.

Zaczął łykać leki, najzwyklejsze proszki na ból głowy.

Miał nadzieję, że głosy, które słyszy, wkrótce zamilkną.

A pewnej nocy przyśniło mu się, że uległ wypadkowi samochodowemu i został sparaliżowany.

Odwiedziła go matka i we dwoje, każde na swoim wózku, grali w koszykówkę.

Obudził się szczęśliwy.

Po raz pierwszy od dawna wyszedł z domu z uśmiechem na ustach.

Tego dnia po pracy zamiast do matki, poszedł do ogrodu zoologicznego.

Siedział na ławce przed klatką z lampartem i gapił się na niego całe popołudnie.

Stanowczość wieku średniego

Całe życie śnił mu się ocean, autostrada wzdłuż wybrzeża, promienie słońca na niklowanych zderzakach kabrioletu, lecz te obrazy – senne złote rybki – pozostały w szklanej kuli na regale jego dawnego chłopięcego pokoju.

Nie zabrał ich ze sobą, opuszczając rodzinny dom.

To był zbyt wielki ciężar do udźwignięcia.

Zostawił swoją przeszłość wszystkim znajomym, by ją rozkradli, a najwartościowsze fragmenty zapożyczyli do własnych autobiografii.

Dla siebie wybrał przyszłość.

Zaczął chodzić na basen, ćwiczyć jogę, medytować.

Jego ostatecznym celem stało się przebiegnięcie maratonu.

To był czas, kiedy przemysł modowy tworzył z ubiorów poezję dla każdej szafy.

To był czas, kiedy jego przyjaciele wraz z rodzinami pili herbatę na światowych stokach narciarskich.

To był czas, kiedy niebo niezmordowanie zmieniało właścicieli, a słońce uśmiechało się do przybyszów.

Przeszłość skrzyła się nieznośnym blaskiem, niedotykalna i samowystarczalna niczym dumny wieszcz narodowy.

Nie dostrzegał jej, nie chciał dostrzegać.

Sierotka

Pociągali go dziwacy, podziwiał zaprzysiężonych poetów, fascynowały go życiorysy samobójców.

Zawierał znajomość z każdym spotkanym człowiekiem w depresji i egomaniakiem (z niektórymi nawet się zaprzyjaźniał), ale to nie znaczyło, że sam ma postawioną diagnozę.

Niemniej twierdził, że cierpi na rozdwojenie jaźni.

Żaden symptom nie świadczył o takim zaburzeniu psychicznym, jednak z uporem powtarzał, że gdzieś w jego głębi żyje druga osobowość, Margareta, sierotka uwięziona w mroku.

Jego pierwsza osobowość ostro się temu sprzeciwiała, twierdziła, że jej konkurentka nie istnieje.

Domniemane rozdwojenie uważała za wytwór znużonego umysłu, chęć zwrócenia na siebie uwagi.

Na próżno jej się sprzeciwiał, powołując się na prawo chroniące zagrożone grupy i jednostki, na pluralizm tożsamości – pierwsza osobowość nie rezygnowała z twierdzenia, że cała gra jest zmyślona.

Z braku jakiegokolwiek dowodu na istnienie sierotki, poza jej imieniem i wyglądem (co było nie do sprawdzenia), posłużył się manewrem fałszywej kapitulacji.

Zrezygnował ze swego twierdzenia, stosując klauzulę:

Jeżeli zostanie stwierdzone, że Margareta nie istnieje lub istnieje wyłącznie jako przywidzenie (można to uznać za lżejsze odchylenie psychiczne), wówczas pierwsza osobowość nie może przyjąć świadomości, że jest jedyna, ze zbytnim zachwytem czy triumfem.

Podpisał te bezużyteczne słowa, czym ostatecznie uwolnił Margaretę z klatki.

Jej byt został zapisany na papierze i uwierzytelniony pieczęcią.

Ten decydujący krok zalegalizował jej istnienie.

Przejęcie władzy będzie mniej więcej rutynowym zadaniem.

Zaczął planować, jakie kupi jej buty, sukienkę i biżuterię.

Musi wyglądać jak królowa, kiedy po czerwonym dywanie będzie szła w kierunku tronu.

Niepewności

Wsparty łokciami o bar przyglądał się dziewczynie z czerwonym pasmem włosów opadającym przez lewy policzek do górnej wargi.

Obracała bransoletkę wokół szczupłego nadgarstka i wyglądała na beznadziejnie samotną.

(Powie jej, że ludzie, którzy się nie śmieją, nie są ładni.
Ona w odpowiedzi pewnie się uśmiechnie).

O sobie nie miał jej nic do powiedzenia.

Utrzymywał się na powierzchni bez widoków na skuteczniejsze dopłynięcie do sukcesu.

(Zrobi jakąś uwagę na temat jej fryzury.
Ona być może go zapyta, dlaczego nosi o dwa numery za dużą marynarkę).

Nie był wygadany, szermował skromnym zasobem cytatów.
Przywołał znużony uśmiech znudzonego człowieka.

(Spyta ją o imię.
Ona zapewne zrewanżuje się pytaniem – dlaczego chce to wiedzieć).

Kiedy miał piętnaście lat, ojciec radził mu, żeby nie myślał o kosmosie czy Bogu.
„Myśl o kobietach" – powiedział wówczas.

(Zatrzyma się przed nią.
Ona przestanie obracać bransoletkę wokół nadgarstka).

Westchnął głęboko i ruszył do dziewczyny z czerwonym pasmem.
Już po pierwszym kroku znalazł się w totalnej ciemności.

Jedno życie, jedna kariera

W genetycznej ruletce miał wielkie szczęście.

Natura idealnie go skonstruowała, na wzór niemieckich samochodów, trwałych i niezawodnych.

Już jako dziesięciolatek dostał najważniejszą radę.

Czerwony krasnoludek żyjący na podwórzu powiedział mu:

„Nie próbuj zostać żardinierą na nieruchliwej ulicy".

Będąc dzieckiem, pojął znaczenie tych słów.

Ostro wystartował w liceum.

Szaleńczo zmieniał płyty na gramofonie.

Czytał książki dające moc myślom.

Pepegami szaleńczo szlifował beton.

Nie miał jeszcze osiemnastu lat, kiedy postanowił, że nigdy nie pójdzie do pracy.

I udawało się.

Omijał niemiłosierne wskazówki poranka, odmawiał noszenia garniturów i krawatów, unikał obrączki.

Płynęły lata (pieniądze jakoś docierały), a on żył dużo wygodniej i wyglądał dużo młodziej od swoich rówieśników.

Bezczynność stępiła mu refleks.

Stał się nieuważny, nieco roztargniony.

Którejś zimy, kiedy sprzątał śnieg na parkingu przed domem, potrącił go autobus.

Przykuty do łóżka zobaczył czerwonego krasnoludka, tego samego, którego spotkał wiele lat temu.

Krasnoludek podszedł i szepnął mu do ucha:

„Wszystko mogło potoczyć się inaczej, nic nie mogło potoczyć się inaczej".

Były to ostatnie słowa, jakie usłyszał.

O odkryciu dwóch wymarłych światów

Chociaż chciał mówić o rzeczach ważnych, zbyt długo broniąc się milczeniem, pogubił słowa.

Rzadko z kimś rozmawiał.

Dni spędzał na czytaniu i dopiero wieczorem, kiedy czuł się zmęczony gapieniem się w papier, zasiadał przed telewizorem.

Pewnej nocy oglądał program o ruchu muzycznym, którego sam był fanem.

Na ekranie zmieniały się kadry z koncertów, teledyski, fotografie muzyków, okładki płyt – te wszystkie artefakty ruchu, który kiedyś uważał za prawdziwe objawienie.

Zdziwiło go odkrycie własnej obojętności.

Nic w nim nie zadrżało, nie zatrzepotało.

Zgasił telewizor, nie czekając na koniec audycji.

Wyszedł na taras i zapalił papierosa.

Przywitało go ciepłe, lepkie powietrze.

Skwar minionego dnia, który trwał od dawna, zostawił pożółkłe liście na drzewach, wypalone trawniki, pozbawione życia ulice.

Patrzył w pustkę przed sobą i zastanawiał się, co go spotkało.

„W rzeczywistości jestem martwy!" – powiedział spontanicznie.

Wydało mu się, że powiedział coś niezmiernie ważnego.

Przechylił się przez balustradę tarasu i zaczął krzyczeć na całe gardło:

„Jestem martwy! Martwy! Słyszycie? Jestem martwy!".

W spokojnej, prawie nieruchomej nocy jego głos niósł się echem po dzielnicy.

Spodziewał się, że ludzie zaczną pojawiać się w oknach i na balkonach, ale światła w okolicznych mieszkaniach gasły jedno po drugim.

O deszczu i kresie miłości

Z ołowianego nieba zwisały ciemne, brzemienne chmury, podobne do brudnych szmat.

Stał i czekał, na zmianę spoglądał to w niebo, to na zegarek.

Spieszyło mu się.

Właśnie zamordował w bramie bohatera jednego z filmów Godarda.

Wreszcie jej samochód się zatrzymał.

Otworzył drzwi i wsiadł pospiesznie.

Trzęsły mu się ręce.

Patrzył na jej kolana, które na zmianę unosiły się i opuszczały.

Na jej stopy, które naprzemiennie naciskały pedały.

Na jej smukłe palce, którymi ściskała kierownicę.

Na kosmyk włosów zawinięty za ucho.

Na jej dziecięcy profil.

Próbował znaleźć jakąś inną muzykę w radiu.

Był dzień żałoby, więc wszystkie stacje nadawały tylko klasyczną.

Wyjechali z miasta, skręcili z głównej drogi i zatrzymali się w pobliżu lasku.

Wyłączył radio.

Chciał jej opowiedzieć, że właśnie zabił jej męża, że zrobił to dla niej, dla nich.

Chciał jej wszystko opowiedzieć, ale jakby zabrakło mu powietrza.

Obróciła się ku niemu i delikatnie pogładziła po włosach.

Wpatrywał się w czarne, złowrogie niebo, nie odwracając głowy.

W oddali zapłonęła błyskawica.

Gruchnął przerażający grzmot i grube krople zaczęły obsypywać szyby.

Odchodzenie do nowego umysłu

Starał się nie myśleć o przeszłości, ale myślał tylko o niej.

Na zewnątrz ludzie stawali się coraz bardziej nerwowi.

Rozłożone nogi ulic kuliły się przed jakobińskimi okrzykami gniewnych.

Upiory spiesznie przemykały i wtykały palce w każde otwarte oko.

Ukrył się w książce i tam poznał dziewczynę, która językiem przemieniała piasek w złoto.

Jak droga striptizerka tańczyła wyłącznie dla niego i nie żądała, żeby spędził z nią resztę życia.

Stał opromieniony nową wiosną.

Brodaci, silni bardowie pojawiali się na horyzoncie.

Jakiś chłopiec skakał po zdaniach i nie zamierzał się z nim przywitać.

Rysunek – Marek Chaczyk

Rysunek – Marek Chaczyk